

Tego jeszcze nie było

Kiedy zaproszono mnie do Gliwic, do jury początkującego Festiwalu Teatrów Nieinstytucjonalnych X-OFF, zgodziłam się od razu. Jeżdżenie po Polsce i oglądanie inicjatyw teatralnych w możliwie najbardziej ascetycznych warunkach to jest mój łagodny narkotyk. To bywa czasem okropne, kiczowate, a nawet niebezpieczne (jedna grupa kiedyś postanowiła wypić na scenie piwa, ile się da, a potem rzucać butelkami do celu, co się po piwach czemuś dziwnie nie udawało i trafiało w publiczność). Jednak takie grupy mogą zrobić wszystko, chociaż nie mają pieniędzy. Zaryzykuję - mogą robić wszystko właśnie dlatego, że nie mają pieniędzy. Dzięki temu są naprawdę wolne, nieograniczone budżetem, większość dekoracji muszą załatwić symbolem albo siłą wyobraźni. To są zalety i z tego punktu widzenia mój nałóg nie jest niczym groźnym. Rzecz jednak w tym, że na ogół takie teatry mają potrzebę prowokacji.

Prowokacja teatralna to nie jest to samo, co prowokacja na wystawie malarstwa. Tu od przekraczających ramy można oberwać po głowie.

Ponieważ jednak siła nałogu obezwładnia, jechałam do Gliwic nastawiona na ogólny wrzask, nadekspresję, płomienie, na tajemniczy kod literacki spektaklu i podejrzenie, że tajemnicy nie zna nikt, nawet aktorzy.

Wielokrotnie po obejrzeniu takich spektakli musiałam leczyć nerki zaziębione od siedzenia po turecku na zimnej podłodze, odnawiać dokumenty, bo w mistycznym skupieniu ukradziono mi torebkę, leczyć się z poczucia winy, ponieważ jeden z aktorów konkretnie na mnie wskazał palcem jako na winną tego, że światem rządzi pieniądz. Napiecie, że musimy zobaczyć coś, czego jeszcze nie było, grozi skokami ciśnienia.



Tak więc jechałam do Gliwic z mieszanymi uczuciami i z takimi weszłam do budy zwanej kinoteatrem bądź Teatrem X z wystrojem nietkniętym od czasów komuny, na salę, gdzie duszno, sucho i kinowo. Organizatorzy natomiast - najprawdziwsi pasjonaci - uprawiają jazdę bez trzymanki, żeby festiwal się odbył. Ludzi zaskakująco dużo jak na takie miejsce. To dopiero drugi festiwal zrobiony „własnymi rękami”: a to mikrofon nie działa, a to głośniki chrypią, aż miło patrzeć, jak coś się rodzi w bólach, dalekie jeszcze od medialnego ideału. Aż by się chciało widzieć, jak się udoskonala.

Po dwóch dniach nie mogłam zrozumieć, co się dzieje. Spektakle świetne i okropne, ale wszystkie normalne jakieś, współcześnie napisane, aktorzy bawią się dialogiem, czasem kabaretowo-teatralnym, czasem z telewizyjnej prawdką, ale... nikt nie prowokuje! Nikt nie wrzeszczy, nie zwija się egzystencjalnie! Zapowiadają spektakl ośrodka odwykowego narkomanów. Teraz będzie - myślę sobie. Uważam, że teatr ma niezwykle terapeutyczne właściwości, więc idę z ciekawością i sympatią, ale już czuję, jak tam będą wyładowywać nagromadzony stres, więc siadam trochę dalej od sceny. I co? „Iwona księżniczka Burgunda”. Gombrowicz opowiadany z jemu właściwym melancholijnym „opóźnieniem”, bez wysiłku, jakby język Gombrowicza był ich językiem. To zresztą możliwe.

I wreszcie spektakl „Kukulka”, wstrząsający tekst napisany przez Agatę Biziuk. Dwie dziewczyny, poruszając się we współczesnym wymiarze poezji, cierpią zmysłowo, po ludzku, samotnie. Niezwykle piękne, proste.

Ale co się stało z prowokacją? Gdzie szok? Gdzie wstrząs naszych śpiących mózgów? Kiedy wróciłam do hotelu, ogłuszył mnie wrzask telewizora, brutalny film i landrynkowe kolory reklam. I wtedy nagle zrozumiałam, że tam, na scenie, odbywała się właśnie prowokacja. Podziemie. Zaprzeczenie oficjalnego nurtu, który wszystko ukradł prowokacji. Szok i oczyszczenie z bełkotu przez prostotę i dialog. Poruszenie stojącej wody przez zwyczajność. Tego jeszcze nie było.

Joanna Szczepkowska